

„Jakby połączenie ognia i wody”. Rozmowa z Jackiem Kowalskim

Na tle innych dowódców powstania Traugutt był z początku tylko wybitny, ale bynajmniej nie jedyny. Wyjątkowym stał się dopiero, gdy przyjął na siebie cały ciężar odpowiedzialności za walczącą Polskę – wraz z wszystkimi tragicznymi konsekwencjami tego wyboru. I potrafił ten ciężar udźwignąć, świadomie składając ofiarę życia – mówi Jacek Kowalski w rozmowie z Adamem Talarowskim dla "Teologii Politycznej Co Tydzień": „Traugutt. Dyktator z wyboru”.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Jest Pan wykonawcą i popularyzatorem pieśni czasów powstania styczniowego, a także autorem książki *Zapomniana Trylogia 1863*. Skąd u Pana, u czytelników i słuchaczy, zainteresowanie insurekcją sprzed ponad półtora wieku i osobą Romualda Traugutta (któremu poświęcony jest jeden z jej rozdziałów)?

Prof. Jacek Kowalski: Stąd, że powstanie styczniowe to „dziś, tylko cokolwiek dalej”. „Dziś”, bo ono właśnie wprowadziło nas, Polaków, do nowoczesności. Dlatego rok 1863 trwa w żywej pamięci bardzo wielu polskich rodzin, co ważne, rodzin nie tylko szlacheckich. Nierzadko trwa też w materialnych pamiątkach, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Ten fakt, w połączeniu z mroczną legendą powstania, niesioną przez genialne dzieła sztuki i literatury – sprawił, że pieśni roku 1863 wywołują żywe emocje. Nie trzeba być historykiem, aby im

ulec, wystarczy być Polakiem. Otóż w książce *Zapomniana trylogia 1863* wyprawiłem się w tę nieodległą przeszłość mniej jako historyk, bardziej jako reprezentant rodzinnych tradycji. Do postaci Romualda Traugutta nie zbliżyły mnie badania, których nie przeprowadzałem, ale pamiątka przechowywana w rodzinie mojej żony: *Czarka Traugutta*.

W czym tkwi wyjątkowość Traugutta?

Na tle innych dowódców powstania Traugutt był z początku tylko wybitny, ale bynajmniej nie jedyny. Wyjątkowym stał się dopiero, gdy przyjął na siebie cały ciężar odpowiedzialności za walczącą Polskę – wraz z wszystkimi tragicznymi konsekwencjami tego wyboru. I potrafił ten ciężar udźwignąć, świadomie składając ofiarę życia. W ten sposób ocalił godność odradzającej się Rzeczypospolitej – oraz sens i honor powstania jako takiego. Musimy przy tym pamiętać, że Czerwoni, inicjatorzy zrywu, nie reprezentowali jego światopoglądu i orientacji politycznej. Idea rewolucji była Trauguttowi obca. Wiedział też z góry, że walka z moskiewskim imperium to szaleństwo. Znał jego potęgę, był przecież eks-oficerem carskiej armii. Mimo to uznał, że powinien pójść do powstania. W czasie śledztwa zeznał wprost: „osądziłem za mą powinność nieoszczędzania siebie tam, gdzie inni wszystko poświęcili”. To jednak był tylko początek. Potem zaangażował się w budowę podziemnego państwa, uznając je za ewenement w skali światowej. Już jako dyktator napisał do współpracowników: „W dziwny i niespotykany sposób się prowadzi położenie nasze, nie dające się z niczym porównać, a głównym kierownikiem wszystkiego sam Bóg”. W tym samym liście zapowiadał wprost: „inaczej być nie może, nas czeka stryczek”. Mimo to nie porzucił dowództwa, nie uciekł za granicę, nawet gdy już wiedział, że lada dzień, lada godzina zostanie aresztowany. W śledztwie nie

załamał się, nie zdradził, nie wydawał współpracowników. Wierzył w sens ponoszonej ofiary, która da zwycięstwo, jak pisał, „w długiej i błogiej przyszłości”.

*Traugutt nie był straceńcem,
tylko pragmatykiem do szpiku
kości*

Ktoś mógłby
powiedzieć, że
Traugutt to taki
romantyczny
bohater, notorycznie
nieszczęśliwy,

przepełniony cierpieniem, który zaangażował się w sprawę beznadziejną. No bo rzeczywiście – przeżył śmierć najbliższych, w tym ukochanej małżonki i córki, a na koniec, jakby dla dopełnienia tragicznego losu, podjął się straceńczej misji. Ale to nie tak. Traugutt nie był straceńcem, tylko pragmatykiem do szpikukości, zarówno jako dowódca oddziału, jak też i później, już jako dyktator. Dbał o wojskową dyscyplinę – przypomnijmy, że zdarzył mu się przykry wypadek: niechcący ranił śmiertelnie krnąbrnego powstańca. Ten nie do końca wyjaśniony epizod przyniósł mu posłuch podwładnych, ale miał też – podobno – już w wieku XX zahamować jego proces beatyfikacyjny. Jako dyktator powstania reformował strukturę armii, świetnie prowadził międzynarodową dyplomację podziemnego rządu. Owo jakby połączenie ognia i wody, poświęcenia i pragmatyzmu nie wygląda na romantyczne. Myślę, że wynika z jego trzeciej cechy: z autentycznej pobożności. W wojskowej i politycznej służbie dla Narodu przyjmował perspektywę chrześcijanina, wiernego syna Kościoła. Jasno dawał temu wyraz w pozostawionych przez siebie świadectwach. Oczywiście trzeba przyznać, że tych osobistych świadectw Traugutta mamy niewiele, choć są znaczące. To ułamki osobistego dziennika, oficjalne rozkazy i korespondencja dyplomatyczna, wreszcie zeznania, składane po aresztowaniu (kiedy słusznie spodziewał się wyroku śmierci) i

świadczenia współpracowników. Za mało, żeby wnikać do wszystkich zakamarków jego duszy, ale wystarczająco dużo, żeby powiedzieć to, co powyżej. W tym miejscu wypada koniecznie wspomnieć postać księdza Józefa Jarzębowskiego, marianina, który te świadectwa i nieliczne pamiątki po Romualdzie Traugucie przez lata gromadził, a w czasie II wojny światowej ocalił, wywożąc z okupowanej Polski. Dopiero w XXI wieku wrócił do kraju, do Lichenia; można je oglądać w tamtejszym muzeum. Fakt znaczący, że tenże kapłan obok pamiątek po Traugucie wywiózł z Polski i upowszechnił w świecie Koronkę do Miłosierdzia Bożego z przesłaniem św. Faustyny. Czyżby zbieg okoliczności?

Czy mógłby Pan powiedzieć więcej o *Czarce Traugutta*, opisanej przez Pana w książce?

To pamiątka rodzinna – srebrny kieliszek, przekazywany w rodzinie mojej żony, czyli kolejno przez rodziny Szareckich i Księżkich. Dziś powiernikiem *Czarki* jest mój szwagier, Dominik Księżki ze Żnina. Tego rodzaju naczyń używali oficerowie carskiej armii. *Czarka*, o której mówimy, ma na denku wygrawerowane inicjały Romualda Traugutta. Sądząc po znaku probierczym, sygnaturze moskiewskiego złotnika i dacie 1860, Traugutt wszedł w jej posiadanie pod koniec kariery wojskowej (przeszedł w stan spoczynku jako podpułkownik latem 1862 roku). Z naczyniem tym wiąże się rodzinna legenda, która – jak wszystko wskazuje – jest zgodna z faktami: otóż *Czarkę* otrzymał od Traugutta Franciszek Jundziłł, dowódca oddziału, w którym służył prapradziad mojej żony, Józef Szarecki. Po powstaniu wdowa po Jundzille, Brygida, ofiarowała *Czarkę*, już jako *sui generis* relikwię, synowi Józefa, którego była matką chrzestną. Weryfikacji tej historii poświęciłem pierwszy rozdział książki, napisany pod wpływem materialnej więzi z Trauguttem – poprzez jego *Czarkę*, której mogłem

dotknąć. Przywołałem ją też w niedawno nagrany programie telewizyjnym z pieśniami powstania styczniowego [emisja zaplanowana jest na 11 listopada w TVP3 Poznań – przyp. red.].

Jak zbliżył się Pan do pieśni powstania 1863 roku?

Sprawił to mój przyjaciel i dobrodziej zarazem, świętej pamięci Janusz Kotarba z Krakowa. W latach 70. Janusz był nauczycielem matematyki i twórcą piosenki turystycznej, działał w zespole HOBO. Kiedy w roku 1980 nastąpiła Solidarność, postanowił popularyzować zapomniane pieśni narodowe – i założył z przyjaciółmi pół-podziemny, a pół-jawny zespół Grono Przyjacielskie. Zaczęli razem zbierać i opracowywać pieśni, śpiewać je, wydawać śpiewniki i kasety poza obiegiem cenzury. Te ostatnie Janusz osobiście powielał w swoim mieszkaniu przy Pijarskiej. Były to m. in. osobne zbiory pieśni obrońców Lwowa, pieśni wojny bolszewickiej, a przede wszystkim, na początek – Piosennik powstania styczniowego. Tworzyli aranżacje współczesne, w stylu, można rzec: „krakowskim” i „turystycznym”. Ale piękne.

*Płyta Idźmy! Śpiewy
powstańcze 1863 została
zadedykowana
Januszowi Kotarbie i jego
przyjaciołom*

W tym samym czasie, jako student poznańskiej historii sztuki, żyłem – poza solidarnościową, podziemną i naziemną rzeczywistością –

ponurzony w staropolszczyźnie i zarazem w przemożnej aurze roku 1863. A zatem pod wpływem Grottgera, XIX-wiecznych grafik

prasowych i fotografii powstańców, Wiernej rzeki Żeromskiego etc. Ale, o zgrozo, znałem zaledwie kilka pieśni. Zawsze chciałem poznać ich więcej... aż tu słyszę, że u poznańskich dominikanów ma być cały koncert takich właśnie pieśni, że będzie grało jakieś Grono Przyjacielskie. Pobiegłem i – jaki zawód! – spóźniłem się! Po paru dniach starań zdobyłem jednak kasetę. Zachwyciłem się, wkrótce znałem ją na pamięć i śpiewałem te pieśni, gdzie popadnie. Jakoś rok, dwa później – taki przypadek, a jak wiadomo, nie ma przypadków – potrzebowalem noclegu w Krakowie i po znajomości, przez znajomych–znajomych, zakwaterowano mnie w mieszkaniu Januszów, pod ich nieobecność. Spojrzałem po półkach, po książkach, kasetach – i zrozumiałem, gdzie jestem. Tak rozpoczęła się nasza wieloletnia przyjaźń. Z podziwem śledziłem dzieło Janusza i Grona, z kolei Janusz zaczął wydawać poza obiegiem moje piosenki i sprawił, że trafiłem na estradę. W ten sposób ta przygoda trwa do dziś. Dopiero jednak w dziesięć lat po odejściu Janusza do Boga zdecydowałem się powtórzyć jego wyczyn – i nagrać płytę na 150. rocznicę powstania. Zrobiłem to z Henrykiem Kasperczakiem – wirtuozem lutni i historycznej gitary – i z Anią Śliwą, świetną skrzypaczką. Płyta *Idźmy! Śpiewy powstańcze 1863* została zadedykowana Januszowi i jego przyjaciołom. Odeszliśmy wszakże od ich stylistyki, proponując akompaniament wierniejszy czasom powstania – ściślej trzymając się dawnych nut i historycznych aranżacji, jak też historycznych instrumentów.

Jaka jest specyfika pieśni powstania styczniowego?

Myślę, że najważniejszą ich cechą jest swego rodzaju „nowoczesność”, jakkolwiek by to dziwnie nie zabrzmiało. Mają 150 lat, ale stylistycznie wciąż są nam dość bliskie, łatwo się je przyswaja, łatwo śpiewa wspólnie. Od początku współtworzyły popularny repertuar

patriotyczny, a kiedy zerkniemy na śpiewniki z przełomu XIX i XX wieku, np. klasyczny śpiewnik Franciszka Barańskiego, gromadzący kilkaset utworów z nutami i tekstami – zobaczymy, że stanowią jego znaczącą część. Większość z nich popadła wprawdzie w niepamięć, ale najpopularniejszych przypominać nie trzeba, bo weszły do repertuaru Legionów Piłsudskiego i teraz często znamy je (o ile w ogóle znamy, oczywiście) jako „legionowe”. Są bardzo zróżnicowane, szeroka w nich gama nastrojów i tematów, od pieśni błahych do wysmakowanych. Zdarzają się „zabawowe”, albo wzywające do boju na wesoło, optymistycznie, chojracko, i takie, które niosą ze sobą aurę znaną z Grottgera: tragiczną, żalobną, patetyczną. Nie od rzeczy mówi się, że powstanie 1863 roku zamknęło epokę naszego romantyzmu – właśnie w tonie tragicznym. Wreszcie, obok kilku ważnych pieśni, w których brzmią akcenty religijne, chrześcijańskie – jest i parę takich, które z chrześcijaństwem pogodzić się nie dadzą. One to stały się dla Marii Janion egzemplifikacją polskiego „wampiryzmu”, bo wzywają do okrutnej zemsty, ba, nawet – na przykład – do kłosa wrogów „własnymi zębami” jako „upiorów gromada”. Z lat stanu wojennego pamiętam porażające wykonanie tej właśnie pieśni przez Gintrowskiego, który swoją ekspresją podwajał efekt samego tekstu.

Jacy są wiodący autorzy tych pieśni? Czy to często twórczość bezimienna?

Owszem, utworów anonimowych, w tym niektórych niezwyklej piękności, nie braknie. Jednakże mieliśmy też szacownych powstańczych bardów i ci stoją na czele. W apogeum walk wydali w podziemiu swoje popularne tomiki: Włodzimierz Wolski, skądinąd autor libretta Moniuszkowskiej *Halki*, a w roku 1863 sławnej *Pieśni strzelców* („Hej, strzelcy wraz!...”) i Władysław Ludwik Anczyc, któremu

zawdzięczamy *Marsz Żuawów* („Nie masz to wiary, jak w naszym znaku...”). Mnie jednak najbardziej uderzają pojedyncze pieśni mistrzów wyższego lotu; myślę tu o Mieczysławie Romanowskim, młodym, lwowskim poecie który pozostawił wzruszające *Co tam marzyć...* W przeciwieństwie do Wolskiego i Anczyca nie „walczył” z za biurka, ale osobiście ruszył do boju i – jak przystało na romantyka, wedle przepowiedni zawartej we własnym wierszu – poległ. Obok niego stoi starszy znacznie Wincenty Pol, twórca pięknej, acz fatalistycznie brzmiącej *Pieśni z obozu Jeziorańskiego* („W krwawem polu srebrne ptaszę”), w której padają owe okropne słowa: „Poszli nasi w bój bez broni”. Zanim jednak pojawiły się te pieśni, powstańcy szli do boju z innym, istniejącym już wcześniej repertuarem – tym między innymi, który niósł się po ulicach zbuntowanej Warszawy. Dwie pieśni zyskały wtedy szczególną rangę hymnów narodowych. Pierwsza to *Boże, coś Polskę* Alojzego Felińskiego, dawny hymn na cześć cara Aleksandra I, ogłoszony w roku 1816. Dzieje tego hymnu obrosły fałszywą legendą, dwie dekady temu zweryfikowaną w historyczno-literackiej monografii pióra Dionizy Wawrzykowskiej-Wierciochowej i Antoniego Podsiada. Otóż nie jest prawdą, że pierwotny tekst powstał do znanej dziś melodii. Nie był też popularny jako hymn ku czci cara, za to najpóźniej w roku 1820 warszawscy studenci śpiewali go już w wersji z refrenem: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Zaraz potem taka właśnie wersja zabrzmiała w kościołach w Poznańskim, już ze znaną dziś melodią, pochodzącą – jak się okazuje – z jednej z polskich pieśni nabożnych z XVIII wieku, której autora nie znamy. Władze kościelne wykreśliły ją wkrótce z repertuaru, ustępując żądaniom pruskiej administracji. Działo się to na długo przed powstaniem styczniowym. Potem pieśń przeszła do Galicji, ale nie była szczególnie popularna. Przełom przyniosła manifestacja przed kościołem Karmelitów w Warszawie 29 listopada 1860 roku, w 30. rocznicę wybuchu powstania listopadowego. Grupa spiskowców wykonała *Boże, coś Polskę* publicznie, robiąc tak wstrząsające wrażenie, że pieśń natychmiast

rozeszła się po całej Polsce i poza jej granicami. Drugim głównym hymnem lat 1860-1864 był *Chorał* Kornela Ujejskiego, zaczynający się od słów „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”. Pierwotnie powstał jako reakcja na rabację galicyjską roku 1846. Obie pieśni zabrzmiały wkrótce na polach bitew, o czym wiemy zarówno z polskich pamiętników, jak z relacji rosyjskich.

Które pieśni zyskały największą popularność w gorącym, wypełnionym patriotycznymi nastrojami okresie przedpowstaniowym?

Oczywiście pieśni związane z wcześniejszym powstaniem – powstaniem listopadowym. Zwłaszcza utwory dwóch młodych bardów, skądinąd żołnierzy tego powstania, wartych szczególnej pamięci: Rajnolda Suchodolskiego (autor *Poloneza Kościuszki*, czyli „Kto powiedział, że Moskale...” i *Mazurka 3 maja* – „Witaj, majowa jutrzeńko...”) oraz Wincentego Pola, twórcy zbioru *Pieśni Janusza*, zbioru o znaczeniu iście epokowym. To tam znalazła się pieśń *Leci liście z drzewa*, wykonywana z różnymi melodiami – nota bene jedną z nich ułożył Fryderyk Chopin. Choć powstała w reakcji na upadek powstania listopadowego, w powszechnym odbiorze wiązana jest z rokiem 1864. Ale wypada powiedzieć nie tylko o wcześniejszych, także i o późniejszych pieśniach; w tym o przejmującej *A gdy na wojenkę szli Ojczyźnie służyć*. Ów wiersz, który przeszedł natychmiast w pieśń, opublikował w roku 1917 poeta Legionów Edward Słoński (autor nieśmiertelnego *Ta, co nie zginęła*). To jedno z wielu świadectw przemożnego wpływu, jaki powstanie styczniowe i jego bohaterowie wywarli na pokolenie Niepodległej.

W tym miejscu czas zakończyć morałem. Często słyszę o beznadziejności zrywu roku 1863. Tak zresztą oceniali powstanie sami weterani. Na przykład Karol Firganek, bohater słynnej obrony dworu w małopolskim Głanowie 15 sierpnia 1863 roku, pod koniec życia, w przededniu wojny światowej, pisał wprost, że powstanie nie miało sensu, że tylko jeszcze bardziej pograżyło Polskę i Polaków – i że boi się o młodzież, którą znów ktoś uzbraja i ćwiczy, szykując do kolejnej hekatombi. Że nic dobrego z tego nie wyniknie. Jak wiemy, stało się wręcz odwrotnie: młodzież, o którą bał się Firganek, wywalczyła Polsce niepodległość. Czy stałoby się tak bez rzekomo „bezsensownej” ofiary powstańców styczniowych? Paradoks historii! I właściwy morał: trzeba realnie patrzeć na rzeczywistość, ale pamiętając, że nasze spojrzenie nie ma monopolu na słuszność, bo przecież „człowiek myśli, Pan Bóg kryśli”.

Dziękuję za rozmowę.

Z prof. Jackiem Kowalskim rozmawiał Adam Talarowski.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

AT